№ 24 WARSZAWA, DNIA 14 CZERWCA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Hieronim wytężył uwagę i słuch, bo mówili bardzo cicho.

— Twoja siła mu zdole — odrzekł Mikołaj.

Potem mnich znowu:

— Ciężkości są przez niedostateczność naszego języka, który...

— Co mówisz jegomość! – przerwał Mikołaj z nagłą zapalczywością. — Nasz język nietylko sam sobie bardzo dobrze i we wszystkiem wystarcza, ale i innym mowom rady dawa! Patrzcie owo na ziele, olszenik: tego gdy Niemiec nazwać nie umiał, wziął od naszej mowy i nazwał olszenich, stądże ich łacińscy mężowie zrobili olszenichum. Albo owo i Włosi, choć łacińskiej mowy dziedzicy są, a przecieć się u słowiańskiej mowy, która polskiej jest matką, rady szukać nie wstydają: i gdy pagura nazwać nie umieli, poszli u dalmatyńskich słowian pytać i nazwali pagurum, com u jednego męża uczonego, Włocha, czytał. Tak jest mowa nasza zasobna i innym we wszystkiem równa, jeśli nie lepsza.

— Ach! — westchnął ojciec Leonard — nie o to się sprawa dzieje! Nie o proste słowa, z rzeczami powiązane, jako jest kwiat z korzeniem związan, ale o inne, których znaczności dojść nie można, zdami się, bez boskiej łaski a pomocy. I inszy narodowie to po sobie baczyli, iż i oni niedostateczni w tem byli, co się i w łacińskiej biblji okazuje. Wiele tam bowiem słów jest żydowskich, chaldejskich, greckich, których żaden, acz wielu nauczonych i świętych ludzi było, nie ważyli się wykładać, bo baczyli język być niedostatecznym; i owszem, dla tajemnej ich znaczności woleli tedy owe słowa przy swej własności zachować, niżliby je nowowymyślonem słowem byli mieli wyłożyć, któreby było trudniejsze ku wyrozumieniu, niż owo pierwsze, własne.

— Zostaw je tedy i ty, ojcze — rzekł Mikołaj—a jeno dalej naprzód idź. Bacz, jako to po inszych narodach wszystko mają swoim językiem wydrukowane, jak owo u Włochów i Niemców. Za łaską Bożą i nasz polski naród, i ta Korona może się teraz w tem z innymi porównać, ałeć nam dalej robić trzeba, a nie zalegiwać! Robić! robić! Jakobyś się w ten las wrębywał!

— Prostą mową tłumaczę — odezwał się mnich — jako same słowa w sobie idą, a nie dworną, która więcej poetom i oratorom należy, niż teologom. Na to się jeno oglądam, iżby ten wykład mój po-

spolity człowiek w Koronie mógł zrozumieć.

— Dziwnie dobre są te czasy — rzekł mistrz Paweł pogodnym głosem.—Za pamięci najstarszych ludzi nie było takiego pokoju w naszem królestwie, ani takiej chęci ku czytaniu, ku dowiadywaniu się, takiej skrzętności dobrej a pilnej, która jakoby miodem napełnia spragnione umysły.

Mówił zcicha, głosem miękkim i rzeźwym, wesołym w swej cichości i będącym jakby odezwaniem się jakichś nieustannych myśli, trzymających w stałem natężeniu i pogodzie jego duszę.

— Szlachta w mig rozchwytuje, czegoby jeno nie wydrukować — rzekł Mikołaj.— Na ostatni sejm piotrkowski wysłaliśmy dwa wozy z czeladnikami. Wszystko rozkupili, jeszcze i za mało było.

— Czytać będą — powiedział Dominikanin—i rozkupią... Aleć nie o to idzie... Nie z tej strony będą nam wstręty czynili, nie z tej strony nienawiść...

Wszyscy trzej umilkli, rozumiejąc się dobrze.

— Bądź, ojcze, spokojny—rzekł wreszcie Mikołaj pewnym głosem — nie dowie się nikt, że to wy, gdy księgę wypuszczę z drukarni.

Potem, uderzając w stół ręką, dodał:

— By mnie i ogniem palono!

— Oho! — pomyślał Hieronim, słysząc te słowa.

Zdziwiły go i dotknęły. Kogóż to ogniem palą? Infamisów? Niedokładnie to sobie przedstawiał, ale miał odrazę do takich niebezpieczeństw. Porządny człowiek w swojem królestwie nie miewa z katem nic do czynienia. Od tego ma wolności, prawa, spisane od wieków.

— Ty — rzekł ojciec Leonard — nie przynależysz przed sąd biskupi, boś nie duchowny.

— O biblję po polsku wydaną? — zawołał Mikołaj — co mówisz, ojcze Leonardzie!

— Ho, jakżem to postarzał, że tak się bez rozwagi odzywam! — odpowiedział Dominikanin. — Iście, tym samym sądemby nas sądzili. Ale w Bogu miejmy nadzieję, że przecie nic złego w tem się nie dopatrzą.

— Ba!—rzekł Mikołaj — od tego to zawisło, kto na biskupstwie wonczas będzie. Dobrzeby tego teraz dokonać, dopóki ksiądz Samuel Maciejowski jest tutaj.

Hieronim, zrozumiawszy, że szło o sądy duchowne, powrócił do spokoju.

Jeśli tak, to nic nie szkodzi. Duchowne sądy, znienawidzone wszędzie, nie dotyczą cześci dobrych synów ojczyzny. Hieronim wiele się o tem nasłuchał w domu, gdy sąsiedzi przyjeżdżali do Marcina.

— Pijmy rzekł Mikołaj—aby nam się darzyło wszystkim we wszystkiem!

Wtem drzwi sklepowe od ulicy otworzyły się z hałasem i weszło dwu ludzi. Jeden był stary ksiądz, w podniszczonej rokiecie. Drugi pan dobrze odziany, szlachcic ze wsi, który zsiadł z konia przed sklepem i zostawił go swemu konnemu pachołkowi.

Zaraz wyszedł do nich Mikołaj spytać, czego żądają, ale widać byli znajomi, bo począł ich witać, a oni jego. Na to i Dominikanin, i mistrz Paweł przyszli także z tylnej izby.

— Ksiąg mi trzeba, panie Mikołaju — rzekł szlachcic, biorąc po kolei różne księgi ze stołu i przeglądając uważnie ze ściągniętemi brwiami.

Ksiądz stary, prędko obróciwszy się znów do Mikołaja, gdy tylko przywitał się z Dominikaninem i z mistrzem Pawłem, zły, burknął:

— Mnie nie tej świeckiej zarazy, tylko: Cursus gnesnenses de beata virgine. Masz?

— Godzinki? — spytał Mikołaj. — Mam krakowskie; tych-li nie chcesz, jegomość?

— Gnieźnieńskie — rzekł ksiądz — te lepsze. Krakowskie znam, ale zdadzą mi się w nich odmianki niektóre nie k' rzeczy.

— Znajdę i gnieźnieńskie — odpowiedział Mikołaj. — Pawle, przyjmuj tu ichmościów tymczasem.

To rzekłszy, wyszedł drzwiami do sieni, aby poszukać gnieźnieńskich godzinek w swym składzie zapasowym.

Szlachcic siadł na stołku, rozparłszy się i pokręciwszy wąsa, spytał:

— Facecji nowych, djalogu jakiego uciesznego nie macie, panie Pawle?

Ksiądz zerknął w jego stronę, namarszczył się, przekąsając i żując jakieś słowa, które gwałtem mu się na usta wydzierały. Wreszcie rzekł:

— Bym cię, panie Jacku, nie znał, nie rzekłbym ci nic. Ale że cię znam, to ci jeno powiem: zaraza wieku! dixi!

— Jaka? — spytał szlachcic, udając zdziwienie.

— Jaka? — warknął tamten. — Nie przeliczy oko! Owo te kartki sprośne, jako jest ten dyskurs „Szewca ze śmiercią" — cisnął książeczką po stole. — Albo owo „Rozmowa" ta... — urwał, ważąc w ręku drugą małą książkę.

— Która? — spytał szlachcic, przechylając się. — Pokaż ino?

Ksiądz nie chciał, ale tamten wziął mu z rąk.

— Aaa! — zawołał rozradowany — nie w smak to jegomości! Bym cię, ksiądz jegomość, nie znał, tedy nie rzekłbym ci nic. Ale że cię znam, to ci poczytam kęs tego składania. Owo jak się poczyna:

Miły wójcie, źle się dzieje,
Aboć się ten ksiądz z nas śmieje!
Mało śpiewa, wszystko dzwoni,
Msza nie była, jako łoni.
. . . .
Jutrzniej też nigdy nie słychać,
Podobno musi zasypiać;
Odśpiewa ją czasem sowa,
Bo więc księdzu cięży głowa.

— To, to, to! pan Rej z Nagłowic! — zawołał, śmiejąc się i uderzając w książeczkę. — Radzę ci, księże, kupić to pismo: „Rozprawa między panem, wójtem i plebanem". Panie Pawle, biorę to i płacę.

— Zaraza — rzekł ksiądz. — I skąd się to wzięło? Przecieć to nie tak dawno, a za ludzkiej pamięci jeszcze, jak się tu cnota krzewiła a kwitnęła w tem królestwie. Ani księgi, ani pisma nie było potrzeba; każdy dobrze wiedział, co czynić ma. Dzieci w posłuszeństwie przeciwko ojcom swym, czeladź przeciwko panom, rycerstwo przeciwko królowi, panu swemu; teraz zaś w co się to odmieniło? Każdy się bierze za księgę, za czytanie, jajo od kury mądrzejsze się być rozumie, a wszystko jeno przez owe druki, przez owe księgi, co je polskim językiem pospolitym niepotrzebnie drukują, pospólstwo w pychę wwodząc i ku temu naostatek, by się jeno rozumowi swemu własnemu zwierzali, radą mądrzejszych wzgardziwszy. Zła to psota i widoczny znak gniewu Bożego. Źle się skończy ta swawola!

— Aleć, źle to czy dobrze, ku temu przecie wszystko szło — rzekł Paweł. — Człowiek każdy do mowy swej przyrodzonej ma tę chęć wierną i przyjazną, której ku innej prawie mieć nie może.

— Do łacińskiej... — przerwał ojciec Leonard.

— Dobrze, dobrześ rzekł! — zawołał ksiądz. — Łacińska mowa jest od Boga na to wybrana a naznaczona jawnie, by hamowała zuchwałe rozumy pospólstwa. Tak święte księgi, które wolą Bożą w niej pozostać mają, by nie poszły między pospolite głowy...

— No! — pomyślał Hieronim i odwrócił oczy z księdza na Dominikanina. — Żeby ten ksiądz wiedział, co gotuje zakonnik, a z nim Mikołaj!

Mnich bardzo się stropił i spojrzał na

Pawła przelotnie, z przygnębieniem takiem, jakby go nie mógł dźwignąć sam i chciał, by mu Paweł dopomógł je znieść. Znaczyło to spojrzenie: a co? wszakem mówił!

Ale odchrząknął i rzekł rzeźwo:

— Nie zdaje mi się, tak jak tobie, jegomość, by Pan Bóg one księgi na zamknięcie ich, a prawie zamurowanie w łacińskiej mowie przeznaczył. Azaliż nie dał Pan daru języków apostołom, by szli opowiadać ewangelję wszystkim narodom w mowie ich? I nie ku czemu innemu spisali apostołowie słowa Pańskie, jeno, gdy ich nie stanie, iżby owe księgi narodom za ich opowiadanie własne stały.

— Co mi waść prawisz! Co mi waść prawisz! — zakrzyczał ksiądz, strzepując ręką koło ucha, jakby odpędzał osę. — Na to Pan ma sług swoich w nas, byśmy Jego naukę w ludzkie twarde łby wrzepili, a pismo święte nam jeno, nie pospólstwu przeznacza. Mówisz oto jegomość prawie jak heretyk, co chce każdego kapłanem uczynić na zniewagę, która Pismu się dzieje w pospolitych roztrząsaniach, nic nie dbając.

D. c. n.

PURPUROWE PŁOMIENIE.

OPOWIADANIE PRAWDZIWE

przez J. P.

Ciąg dalszy

— Nadewszysko cenię ścisłość i dokładność, Bob; powinieneś był w hotelu zostawić wiadomość, dokąd się udajesz. Ale dosyć już o tem. Mam zamiar za kilka dni wyruszyć w podróż, trzeba jeszcze poczynić pewne przygotowania. Dan cię objaśni.

Wysłuchawszy słów pana Jacka West, Bob chciał się oddalić, gdy ten zatrzymał go jeszcze, mówiąc:

— Bobie, zwiedziłeś moją fermę, chciałbym posłyszeć o wrażeniach z twojej tam bytności.

Młody marynarz w krótkich, treściwych zdaniach opowiedział o swoich wrażeniach, jak również o wypadkach doby spędzonej na fermie.

— Well, *) — rzekł pan Jack West; — postąpiłeś słusznie. Cowboy'owie są to wszystko meksykańskie łotry; osądzę ich surowo Helena King zna mnie i wie dobrze, że pomimo współzawodnictwa z nią, lubię środki łagodne i tego żądam od innych.

Po tych słowach odprawił młodzieńca przyjacielskiem skinieniem głowy.

Robert, mający charakter, jak wszyscy Polacy, szczery i otwarty, zwrócił się do Daniela Filipa Cuellar, prosząc, aby mu udzielił odpowiednich informacji.

*) Dobrze.

— Pan nie znasz tutejszych sklepów, panie Molski. Aby porobić zakupy zapasów tak, jak to lubi pan West, trzeba się znać po kupiecku na wszystkiem. Ja to wszystko sam załatwię. Tylko w jednej rzeczy,— dodał, uśmiechając się złośliwie— będę potrzebować pana pomocy: mianowicie w zakupie win i likierów, które bierzemy na jacht. Polacy znają się na trunkach.

— Przypuszczałem — przerwał mu Robert, który zauważył szyderstwo — że w wolnej Ameryce nie odnoszą się do alkoholu zbyt nieprzychylnie. Niech mi Dan powtórzy polecenia pana West, a wypełnię je natychmiast.

— Nie dla wszystkich jestem Danem; nazywam się Daniel Filip Cuellar,—odpowiedział tenże, podnosząc dumnie głowę.

— Tam do djabła, panie Cuellar, — zaśmiał się młody marynarz — nie wiedziałem, żeś pan potomkiem tak dumnego rodu. Ale wobec tego należałoby panu poszukać sobie innego otoczenia.

Dan rzucił mu nienawistne spojrzenie.

— To jest moja rzecz — rzekł krótko.— Tutaj masz pan listę win i wódek, które trzeba kupić dla jachtu. Zwracam tylko uwagę panu, panie Molski, żebyś pan dobrze każdy gatunek spróbował. Pan Jack West pija tylko najwyższe marki, a o cenę mu nie chodzi. Radziłbym panu zwrócić się z tem kupnem do pewnego Niemca, pana Goldszmidta, który posiada tutaj restaurację, a który będzie panu pomocnym w ocenianiu gatunków napojów. W pokoju pańskim leży uniform jachtu, który pan będzie od tej pory nosić z polecenia pana West.

— Wywiążę się skrupulatnie ze wszystkich rozkazów i przypuszczam, że pan Jack West nie będzie miał powodu do niezadowolenia, — odrzekł Robert Molski.

Udał się natychmiast do swego pokoju, włożył mundur i wyszedł na poszukiwanie owego znawcy trunków. Znalazł wskazaną mu przez Dana restaurację, a wszedłszy do wnętrza, zauważył, że był najwidoczniej oczekiwany.

— Chodź ze mną, młody przyjacielu — rzekł Niemiec — przejdziemy do wielkiego składu win i tam wybierzemy, co nam potrzeba. Znam gust pana Jack'a West i będę wiedział, co go zadowolni.

Poprowadził Roberta przez labirynt wązkich zaułków, aż wreszcie wyszli na ulicę Levee, która ciągnęła się wzdłuż brzegu Missisipi.

— Oto jesteśmy przed składem win, o którym panu wspominałem — rzekł pan Goldszmidt, w starszym już wieku człowiek o bardzo poważnej i budzącej szacunek powierzchowności.

Weszli do starego budynku z wysokiemi, wązkiemi oknami. W podwórzu znajdowały się składy. Do jednego z nich wszedł pan Goldszmidt i zaprowadził swego towarzysza prosto do pokoju, elegancko urządzonego, w którym zwykle odbywały się próby win.

W chwilę potem wszedł tam człowiek, odziany tylko w spodnie i koszulę; twarz jego przebiegła zdradzała wytrawnego handlarza.

— Ten młody człowiek — rzekł pan Goldszmidt, wskazując na Roberta — pragnie kupić wina i likierów dla pana Jacka West. Niech pan przyniesie nam do spróbowania najwyższe marki, jakie pan posiada.

— Natychmiast wypełnię żądanie pana — odrzekł gospodarz, przyczem można było zauważyć przelotny uśmieszek, który prześlizgnął się po jego wązkich wargach.

Robert i jego towarzysz zabrali się do dzieła. Najpierw wypróbowali cały szereg gatunków wina, z których młody marynarz wybierał najlepsze. Przed rozpoczę-

ciem próby likierów Robert zażądał coś do jedzenia.

— Nie jestem przyzwyczajony pić tak dużo, nic przedtem nie jedząc.

– Ależ, drogi przyjacielu, tu nie jest przecież restauracja. Skończymy niezadługo naszą robotę, jak to widzę z listy, którą pan trzymasz w ręku, a wtedy pójdziemy na przekąskę. Niedaleko stąd jest bardzo dobra restauracja.

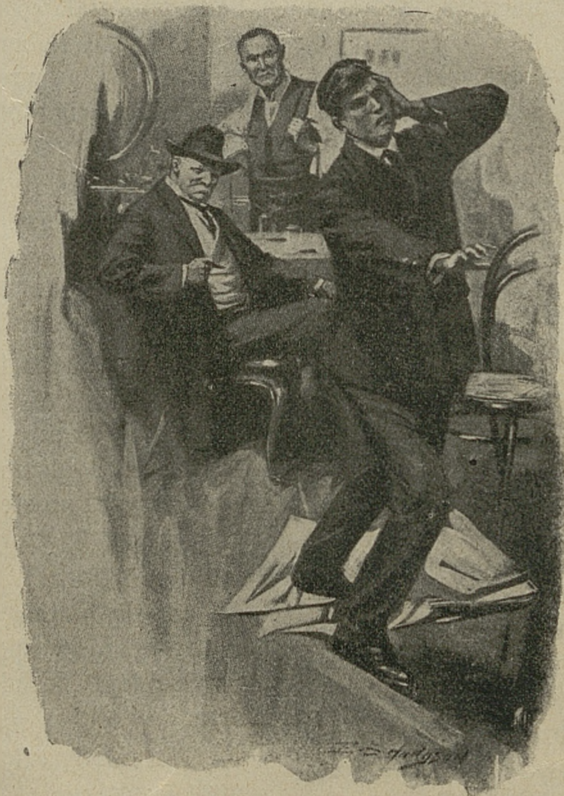
Robert spróbował zaledwie połowę przyniesionych likierów i wódek, gdy poczuł, że zakręciło mu się w głowie.

— Chciałbym napić się czegoś orzeźwiającego — rzekł Robert do swego towarzysza.

— Tego może pan dostać natychmiast. Każę panu przynieść wody sodowej i whisky.

To mówiąc, wyszedł do sąsiedniego pokoju i w chwilę potem powrócił z gospodarzem, który niósł żądany napój.

Gdy Robert ujął butelkę whisky, właściciel restauracji rzekł:



.... Pochwyciwszy gwałtownie swoją czapkę i chwiejąc się na nogach, dopadł drzwi...

— Zostaw pan to gospodarzowi. On umie specjalnie dobrą mieszaninę przyrządzać.

Zaledwie Robert przełknął szklankę podanego mu napoju, gdy poczuł jak wszystko w pokoju zaczęło mu tańczyć przed oczyma. Przerażony, zerwał się z krzesła, gdyż zdawało mu się, że jest chory. Pochwyciwszy gwałtownie swoją czapkę i chwiejąc się na nogach, dopadł drzwi,

myśląc, że świeże powietrze przyniesie mu pewną ulgę.

Jak przez mgłę tylko widział jeszcze swych obydwóch towarzyszy i usłyszał wymówione przez domniemanego kupca, ze specjalnym naciskiem słowa:

— Do jutra rana wszystko będzie już załatwione, panie Goldszmidt.

Potem stracił nagle przytomność.

Długo musiał pozostawać w stanie zupełnego odrętwienia. Gdy otworzył oczy, ujrzał się w maleńkim pokoiku, w którym było ciemno, jak w studni. Próbował przypomnieć sobie, co się z nim działo i gdzie się może znajdować, wszystko to jednak było napróżno.

— Jak ja się tu dostałem?— rzekł sam do siebie i długo nie mógł zebrać myśli, gdy wtem przypomniał sobie pana Goldszmidta i próbę win przy ulicy Levee.

Co jednak działo się z nim potem, tego nie pamiętał. Nagle uszu jego doleciał szum i przelewanie się wody.

— Muszę być na statku, — rozmyślał głośno — ale przecież na jachcie pana West nie zamkniętoby mnie w takiej dziurze?

To mówiąc, zaczął walić pięściami w drzwi. Po krótkiej chwili, otworzyły się one i na progu ukazał się ogromny, barczysty marynarz.

— No, cóż chłopcze, czy ci już wywietrzało wino z głowy? Chodź na pokład, powietrze orzeźwi cię i będziesz się mógł zabrać do roboty.

— Gdzie ja jestem? — zawołał Robert wzburzony.

— A cóż u djabła, nie wiesz tego? Płyniemy przez zatokę meksykańską. Sporo musiałeś wypić wódki, żeś tak pamięć stracił.

— Ale jak ja się tu dostałem? — pytał Molski zdumiony, wychodząc za marynarzem na pokład.

— Od werbownika jak, inni — odparł tenże.

— Na jakim statku płynę?—spytał Robert porywczo — gdyż poczynało mu w głowie świtać, że został on majtkiem w sposób niewytłómaczony.

— Będziesz rad—zaśmiał się marynarz—jesteś na amerykańskim holowniku węgla! Dużo tu jest roboty i niezbyt przyjemnej, ale stary daje codzień wódkę, a tę, zdaje się, lubisz bardzo.

W kilku susach przebył Robert schodki, wiodące z kajuty i wyskoczył na pokład. Teraz wiedział już, co się z nim stało. Werbownik spoił go, zabrał mu mundur i pieniądze, a ubrawszy go w swoje brudne, podarte łachmany przyniósł na pokład holownika, który nie mógł skompletować potrzebnej załogi z powodu zbyt ciężkiej pracy.

Pośpiesznie przebiegł cały pokład, rozglądając się na wszystkie strony. Obok starego sternika zjawił się teraz i kapitan, który zawołał:

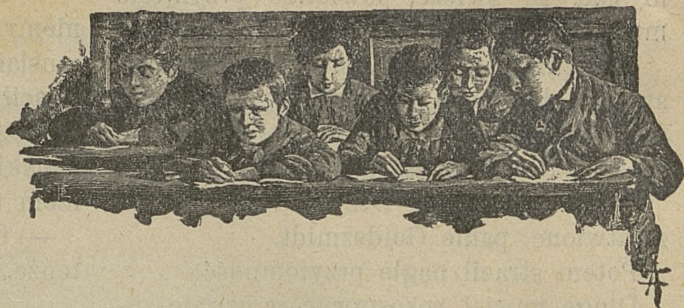
— Ech, człowieku, tutaj na górze niema żadnej roboty. Zejdźcie na dół.

W tej chwili błysnęła Robertowi myśl:

— Do brzegu jest jeszcze niedaleko, zaledwie godzinę płyniemy; odważę się!

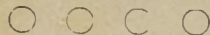
(D. c. n.)





Marja Buyno.

KOŁEDZY.



Ciąg dalszy.

Pani Strzemboszowa miała wrażenie, że go gdzieś widziała, lecz nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Wtem chłopiec podniósł oczy i spostrzegł ją. Zmieszał się, zbladł, potem zdjął czapkę, kłaniając się niezgrabnie.

— Dzień dobry!—rzekła, uprzejmie odpowiadając na ukłon, chociaż nie wiedziała, kto to taki. Chyba nie kolega Michasia, bo go nigdy przy nim nie widziała.

W tej chwili z wesołą wrzawą i krzykiem obstąpiła ją gromadka uczni.

— Dzień dobry, dzień dobry! — wołali na prześcigi.

Ale Michaś nie witał się, jak zwyle; chwyciwszy rękę matki, zapytał nieswoim, zduszonym głosem:

— Dlaczego mu się kłaniałaś?

— Komu? Ach, temu chłopcu? Ukłonił mi się, więc mu się odkłoniłam! A któż to taki?

— Mój wróg! Nienawidzę go! słyszysz, mamo, nienawidzę!

Pani Strzemboszowa odstąpiła krok wtył, wpatrując się z przerażeniem w twarz chłopca: takiej nienawiści, takiej zaciętości, takiego gniewu nie widziała nigdy u swojego dziecka. Nie poznała go poprostu.

— Michasiu!—krzyknęła z głębokim bólem w głosie.

W serce jej dziecka wkradł się jad, a ona o tem nie wiedziała. Nie uchroniła go od tego nieszczęścia! Kiedy to się stało? Jak?

— Nienawidzę go! Opowiem ci wszystko! Sama zobaczysz, czy ja nie mam racji! Mateńko! Ja przez niego tyle wycierpiałem!

— Chodźmy! – szepnęła pani Strzemboszowa, pociągając za sobą syna.

Chłopcy, odczuwszy instynktownie, że są zbyteczni, zostawili ich samych.

— Mamo!—opowiadał gorączkowo chłopiec. — Nie mówiłem ci wielu rzeczy. Może źle robiłem, ale nie chciałem cię martwić; przy tem tak rzadko byłaś w domu. Ja wiem: pracowałaś na mnie. Ale to mi ułatwiało kłamstwo! Zataiłem przed tobą wszystko, co się stało od pierwszego dnia mego pobytu w szkole! Zaczęło się od głupstwa: uniosłem się, uderzyłem młodszego od siebie chłopca. I od tej chwili wszystko zaczęło mnie dzielić od kolegów, do których tak mnie ciągnęło serce! Jeden Witold był przy mnie! O, gdybyś ty wiedziała, jak ja cierpiałem! Raz zbierali składkę, ja nie miałem pieniędzy, ciebie nie chciałem prosić, bo wiedziałem, że nie miałaś, — nie dałem! On zbierał tę składkę. O, potępił mnie i za to, że pieniędzy nie miałem! Potępił on, a za nim wszyscy. A potem to wypracowanie! Nie, nie! Myśleć nie chcę o tej chwili!

— Uspokój się, synku, odpocznij. Opowiesz kiedyindziej! — uspokajała matka, zaniepokojona wzmagającem się rozdrażnieniem chłopca.

— Nie! Już teraz nie mógłbym mil-

czeć. Kiedy zacząłem, muszę ci opowiedzieć wszystko, wszystko! O, to tak boli, gdy trzeba coś taić przed swoją ukochaną mateńką! Widzisz, było wypracowanie. Opisać najważniejszy dzień w swojem życiu. Ja wiem, że to było dla mnie zadane. Pan Molski chciał, żebym opisał wszystko, co mnie spotkało w klasie. Chciał mnie pogodzić z kolegami. Ja wiedziałem o tem i cieszyłem się, sądząc, że się skończą moje utrapienia! Opisałem wszystko: moje nadzieje, zawód, męki, jakie potem znosiłem. Przyznawałem się do winy wówczas, gdym się rzucił na młodszego od siebie, prosiłem, by mi darowali, by pozwolili się zbliżyć do siebie... O, pisałem, wkładając całą duszę, nic nie tając, nic nie ukrywając... Zdawało mi się, że to będzie moje ocalenie... gdy tymczasem...

Zamilkł, ocierając pot z czoła. Matka nie próbowała już powstrzymać jego zwierzeń; czuła, że musi wyspowiadać się ze wszystkiego, że przestać w tej chwili byłoby mu trudniej, niż mówić.

— I co się stało dalej? — pytała, kładąc mu pieszczotliwie rękę na ramieniu.

Nie wiedząc kiedy, zaszli w Aleje Ujazdowskie i usiedli na ławce. Jesienny wicher targał gałęziami drzew, zrywając resztki liści, które wirowały czas jakiś w szalonym tańcu, by paść na ziemię, na wieczną zagładę. Blade słońce chowało się co chwila za chmury, by spojrzeć znów ospale i sennie na smutny, szary, jesienny świat.

— Wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie tego, co się stało! — opowiadał dalej Michaś, zaczerpnąwszy powietrza — Byłem taki szczęśliwy tego dnia, z taką ufnością podawałem moje wypracowanie. Napracowałem się nad niem porządnie, nieraz i w nocy siedziałem. Były chwile, gdy czułem się bardzo zmęczony, znużony, ale zapomniałem o tem wszystkiem, oczekując zmiany...

Profesor Molski patrzył na mnie dobremi i serdecznemi oczami; rozumiał mnie! Nagle, jak grom, padła na mnie wiadomość, że cała klasa nie napisała wypracowania! Ja jeden tylko, odstępca! Wyłamałem się z ogólnego post[illegible]enia, zdradziłem kolegów... Oh!...

— Przecież nie wiedziałeś o tem! — krzyknęła prawie pani Strzemboszowa, obejmując go serdecznie i tuląc do siebie, jak małe dziecko!

— Tak, nie wiedziałem! Naturalnie, że nie wiedziałem! Ale skąd oni mogli wiedzieć, jak było! Przecież nikt ze mną nie rozmawiał, nikt nie wiedział, co ja myślę...

— Nikt?

— Nikt, oprócz może Witolda. Zresztą i jemu nie zwierzałem się z tego, że piszę owo wypracowanie!

— Nieszczęśliwy zbieg okoliczności zgnębił cię, biedne dziecko!

— To była straszna chwila! Zdawało mi się, że jakiś ciężki młot spadł mi na głowę i ciężył, ciężył nieznośnie. Nie widziałem już nikogo, nie słyszałem nic! Jedna myśl tylko panowała we mnie: znaleźć się przy tobie, matuś, opowiedzieć ci wszystko... O...!

— Moje drogie, ukochane dziecko! I ja nie byłam przy tobie wówczas, gdyś cierpiał, gdyś mnie potrzebował, ja, co życie tak chętniebym za ciebie dała! Co za fatalność, co za fatalność!

— Posłuchaj, mamo, dalej! Teraz już nic smutnego nie będzie. Chcę się tylko usprawiedliwić, dlaczego nienawidzę *tego*!

Po powrocie do zdrowia, zauważyłem zmianę wielką w kolegach! Czuli się winnymi wobec mnie... przepraszali! O, jak chętnie przebaczyłem! Między tymi, którzy mnie odwiedzali, chciałem koniecznie widzieć jednego z kolegów, którego w duszy przeznaczyłem na swego przyjaciela...

— Przecież Witold, ten dobry, kochany chłopiec, był twoim przyjacielem od pierwszych chwil!?

Michaś potrząsnął głową.

— Witold jest moim przyjacielem dziś, gdy go lepiej poznałem. Wówczas lubiłem go, ale coś ciągnęło mnie do jednego z kolegów, który zresztą, jak wszyscy inni, unikał mnie i nie rozmawiał ze mną; lecz patrzył na mnie często, a ja we wzroku jego odczytywałem tyle pięknych rzeczy: szlachetność, dobroć, rozum i — sympatję dla siebie! O, jakże się bardzo myliłem!... Czekałem napróżno, by mnie odwiedził, jak inni. W dniu, gdym przyszedł po raz pierwszy do szkoły, nie przywitał mnie z innymi... Było mi bardzo przykro...

— Tak, naturalnie! To nieładnie z jego strony, ale to jeszcze nie powód do nienawiści!

— Poczekaj, matuś! Zwolna poczęły do mnie dochodzić różne wieści, którym z początku nie chciałem dawać wiary. Wkońcu jednak przekonałem się, że były prawdą. To *on* odsunął ode mnie wszystkich, *on* wydał wyrok potępiający, przez *niego* tyle cierpiałem!

— Lecz jakżeż on mógł to zrobić? Czyż wszyscy byli mu posłuszni?

— Tak! Jest on, a raczej był, prowodyrem klasy. Wszyscy go słuchali!

— Lecz skądżeż taka niechęć dla ciebie od pierwszej niemal chwili?

— To chłopiec bardzo inteligentny, sprytny! Przeczuł we mnie rywala! - mówił Michaś, powtarzając bezwiednie słowa Witolda. — Obawiał się, bym nie zajął jego miejsca, jego pierwszeństwa, i chciał mnie zgnębić! Lecz nie uda mu się to, o nie! Nie spocznę, póki mu tego pierwszeństwa nie wydrę, tak, jak mu już wydarłem jego wpływ w klasie!

— Michasiu!

— Mateńko! Czyż nie mam prawa nienawidzić go? Przecież przez niego tyle wycierpiałem, omal życia nie straciłem?

— Nienawiść jest złem uczuciem. Przynosi więcej krzywdy nam samym, niż naszemu przeciwnikowi!

(D. c. n.)

Plamy słoneczne.

W ostatnich latach powierzchnia słońca była prawie zawsze wolna od plam. Są bowiem okresy, podczas których można spostrzegać liczne tego rodzaju zjawiska, a następnie lata, w których słońce jest zupełnie wolne od plam. Mówi się więc z powodu tego o maksimum i minimum plam słonecznych. Okres od jednego maksimum, do drugiego trwa zazwyczaj przeszło jedenaście lat.

Od pewnego czasu plamy na powierzchni słońca są znowu widoczne. Są to mniej lub więcej ciemne obszary, otoczone ciemnem kołem. Plamy te poruszają się w czasie około dwóch tygodni, od wschodniego do zachodniego brzegu słońca i w ten sposób stanowią dla nas środek pomocniczy do oznaczenia obrotu słońca. Lecz czas takiego obrotu jest rozmaity, ponieważ plamy takie nie należą do stałej powierzchni, lecz są wytworami atmosfery słonecznej, mianowicie wydrążeniem się tak zwanej fotosfery, czyli świecącej warstwy słonecznej.

Przy obserwowaniu słońca za pomocą lunety, koniecznem jest zaopatrzenie lunety w szkła dymne lub inne światło, osłabiające przyrządy, gdyż w przeciwnym razie doznać można upośledzenia wzroku, wskutek chemicznego działania promieni słonecznych na siatkówkę.

Z ŻYCIA OBOZOWEGO SKAUTÓW.



Pogawędka przy ogniu.



MODLISZKA.

EPIZOD Z REWOLUCJI FRANCUSKIEJ.

Ciąg dalszy.

Po twarzy młodego przyrodnika przebiegł lekki uśmiech.

— Ależ, matko Bertrand, sprawa nie jest tak straszna, jak się zdaleka przedstawia. Zbieram chrząszcze, koniki polne, poczwarki, jednem słowem, różne rzadkie owady. Blaszana puszka w moim tornistrze jest zapełniona tem wszystkiem.

— A cóż wy z tem robicie?

— Jestem badaczem przyrody. Skoro wrócę do domu, zbadam ich sposób życia, budowę, ubarwienie i członki tych stworzonek i te, które mi są potrzebne, przyłączam do swoich zbiorów.

— Czy znalazłeś u nas to, czego szukałeś?

— Tak, tylko pewnego gatunku szarańczy, tak zwanej „Modliszki”, znaleźć, niestety, nie mogłem.

— Szczególna nazwa! „Modliszka” powiadasz? jakże ona wygląda?

Przyrodnik otworzył książkę, którą trzymał w ręku i pokazał podobiznę stworzonka.

— Otóż widzicie, mateczko, to jest „Modliszka”; ma silny zielony grzbiet i brązowy brzuszek, długą wyciągniętą szyjkę i żółte nóżki, z których właśnie dwie przednie wznosi, jakby do modlitwy w górę: stąd jej nazwa.

— Ach to, to znam — zawołała staruszka.

— Jakto, znacie ją? I wiecie gdzie jej szukać należy.

— Ależ tak, właśnie w tem miejscu, gdzie spadłam do kamieniołomów, w otaczających je krzakach dzikiego agrestu.

— Rzeczywiście, matko Bertrand, czy się nie mylicie?

— Nie, z największą pewnością.

— Zatem zostaję jeszcze przez jeden dzień i wybieram się do kamieniołomów.

Nazajutrz matka Bertrand usadowiła się, jak zwykle, o tej godzinie na swoim ulubionem miejscu przed chatą i patrzyła na drogę, oczekując powrotu swego lokatora, który wybrał się wczesnym rankiem i dotychczas jeszcze nie powrócił.

W tej właśnie chwili ujrzała go wychodzącego z lasu.

— Jak się macie, matko — zawołał już z daleka — bardzom wam wdzięczny, bo znalazłem egzemplarz „Modliszki” i to wspaniały.

— Cieszy mnie to bardzo — odrzekła staruszka — ale przykro mi zarazem, iż muszę wam powiedzieć rzecz niezbyt przyjemną.

— No, cóż takiego? — ciekawie zapytał przyrodnik.

— Otóż zaledwie wyszliście z domu rano, kiedy nadszedł patrol, zapytał o was; musiałam własnemi oczami patrzeć na to, jak porozrzucali i przeszukali wasze rzeczy, nareszcie poszli, surowo mi nakazując, abym wam nic o ich obecności nie wspominała. Powiedźcie mi, panie, czego oni chcą od was i jakie mają zamiary?

Piotr słuchał z bijącem sercem tego sprawozdania.

— Matko Bertrand, muszę natychmiast powrócić do lasu; nie mam ani chwili do stracenia, chciałbym tylko zabrać mój tornister, wtedy...

W tej chwili zabrzmiały dzikie okrzyki i z za węgła chaty wypadła gromada mężczyzn, uzbrojonych w strzelby i halabardy. Na ich czele znajdował się Jerzy Derriére.

— Hola, stój! W imieniu Zgromadzenia rewolucyjnego w Bordeaux aresztuję cię, obywatelu Latreuil. Jesteś przez Komitet paryski skazany na śmierć!

Zanim Latreuil zdążył wymówić słowo, był już otoczony. Na ucieczkę było zapóźno!

Teraz, kiedy przekonał się o niemożliwości ucieczki, wróciło mu zupełne panowanie nad sobą. Jakkolwiek serce jego ściskało się na myśl o losie, jaki go czeka, nie chciał jednak swemu śmiertelnemu wrogowi dać sposobności urągania jego słabości.

— Idę z wami — wyrzekł spokojnie. — Mam tylko jedną prośbę a mianowicie, żebyście mi pozwolili zabrać ze sobą moje zbiory.

— Twoje chrząszcze? — zaśmiał się Derriére — a niech tam który wyniesie ten pakunek!

Skoro tornister został oddany więźniowi, cały pochód ruszył w drogę do Bordeaux.

— Bądźcie zdrowi, matko Bertrand — rzucił na pożegnanie nawpół martwej

ze strachu staruszce Piotr — życzę wam zdrowia i długiego życia!

* *
*

W jednej z cel więzienia w Bordeaux siedział Piotr Latreuil. Na chwiejącym się stole paliła się świeca łojowa, rzucając ponury, niepewny blask na brudne ściany. Piotr tylko co odłożył pióro i przeglądał raz jeszcze treść listu, który trzymał w ręku.

W liście tym żegnał on swoich najbliższych i oznajmiał im, iż bez uprzedniego badania skazanym został na śmierć i że sam do tej chwili nie wie, o co go oskarżono; zasyłał swoim ukochanym gorące życzenia wszelkiej możliwej pomyślności w dalszem życiu. Przyjacielowi swemu, Franciszkowi, polecał swoje zbiory naukowe i kończył prośby temi słowy:

„Niech zbiory te w innych rękach wydadzą te owoce, których ja się po nich spodziewałem".

— Tak - szepnął, składając list — najcięższe już zrobione.

Na korytarzu dały się słyszeć kroki, klucz zgrzytnął w zamku i wszedł strażnik.

— Obywatelu Latreuil — rzekł — przysłany jestem przez obywatela prezydenta, który zapytuje was, czy nie macie jakiegoś życzenia, gdyż jutro spełniony zostanie wyrok.

— Nie mam innego życzenia oprócz prośby o butelkę wina i dwie szklanki, ażebyś mógł wypić ze mną i dotrzymać mi towarzystwa przez jakąś godzinkę. Jesteś ludzki, nie dokuczyłeś mi przez czas mego więzienia.

— Chwilkę cierpliwości—odrzekł strażnik, któremu życzenie więźnia bardzo pochlebiało — zaraz powrócę z odpowiedzią.

Po niedługim czasie wrócił z żądanem winem.

— Pośpieszyłeś się, obywatelu — rzekł, napełniając szklanki, Latreuil.

— Nie tak znów bardzo — odpowiedział, siadając, strażnik — obywatel prezydent mieszka w gmachu więziennym.

— Tak. Dziwi mnie to bardzo, że pomimo to nie wysłuchał moich usilnych próśb o wybadanie mnie.

— Obywatel prezydent ma bardzo mało czasu.

— Czyż tak jest przeciążony obowiązkami swego urzędu?

— To nie; te po większej części załatwia sekretarz. Ale prezydent sam prawie bezustanku wędruje po polach, lasach i łąkach, gdzie chwyta chrząszcze i motyle; jest to jego jedyna przyjemność.

— Jeżeli was dobrze zrozumiałem, to przezydent zbiera owady?

— Zdaje mi się, że to się tak nazywa. I tylko to go zajmuje; ma on wiele takich zwierzątek, jak te wasze w tornistrze.

— Doprawdy, obywatelu strażniku? Zdjęliście mi kamień z serca. Ciążyła mi myśl, co się stanie z jednym egzemplarzem mojego zbioru, który mnie najwięcej kosztował trudu i jakkolwiek nie mam powodu do okazywania uprzejmości obywatelowi prezydentowi, to sądzę jednak, że winienem nauce oddać tę przysługę, chroniąc od zguby najbardziej poszukiwany egzemplarz z mych zbiorów.

Z temi słowy Piotr Latreuil wyjął z blaszanej puszki „Modliszkę" i wpiął ją szpilką w korek od butelki. *)

— Weź to i zanieś prezydentowi; sądzę, że cię sowicie wynagrodzi.

Klucznik podniósł się, obejrzał ciekawie owad, który trzymał w ręku i rzekł:

— Jeżeli tem mogę wam sprawić przyjemność, to i owszem—i oddalił się z dobrodusznym uśmiechem.

Nie upłynęło dziesięć minut, kiedy ku

---

*) historyczne.

wielkiemu zdumieniu Piotra, wszedł do jego celi mały staruszek, pochylony o rozwianych, siwych włosach.

— Przepraszam, jeżeli przeszkadzam; jestem prezydent Noil, a wy jesteście Piotrem Latreuil?

— Tak jest — odrzekł Piotr, przysuwając prezydentowi krzesło.

— Przysłałeś mi pan przez klucznika owad, którego nadaremnie dotąd poszukiwałem. Czem zasłużyłem na pańską uprzejmość?

— Kierowały mną względy nie osobistej natury, a tylko miłość dla nauki. Jestem z powołania przyrodnikiem, obywatelu prezydencie. Ten mały zbiór zostanie wkrótce bez właściciela, dlatego też uważałem za najbardziej celowe posłać panu, o którego zamiłowaniu słyszałem, najdroższy mój egzemplarz, ażeby go uchronić od zguby.

— Dziękuję panu, uradowałeś mię wielce. Jak się to jednak stało, że taki człowiek nauki, jak pan, znajduje się w tem położeniu? Jesteś skazany za wrogie usposobienie przeciw republice.

— Jestem skazany niewinnie, wbrew prawu i sprawiedliwości. Kilkakrotnie żądałem, ażeby mnie poddano badaniu, ale nie spełniono tego żądania.

— No, no, czyżby mój sekretarz zataił to przede mną? O ile wiem, jesteś pan oskarżonym, jakobyś w Cafée Royal w Paryżu wygłaszał podburzające mowy przeciwko Zgromadzeniu narodowemu. Podobno mówiłeś o szczególnem położeniu królowej, o tyranji robotników, o okrucieństwie i masowych morderstwach.

(D. n.)

Polka na wojnie bałkańskiej.

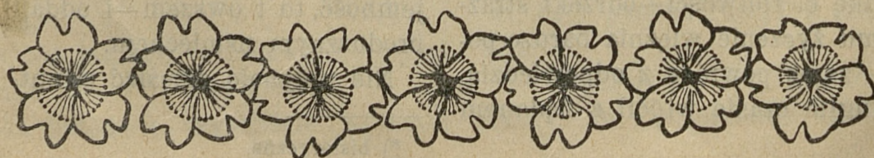
Pani Elżbieta Bilińska, żona konsula generalnego austrjackiego w Janinie, przebyła w Janinie cały czas oblężenia i obecnie opowiada wiele ciekawych szczegółów z wypadków, których była świadkiem naocznym, z niewygód i niedostatków, które przeżyła.

Przez cały czas oblężenia mieszkańcy nie otrzymywali ani gazet, ani listów, ani nawet telegramow. Gdy udało się niekiedy przemycić do miasta gazetę grecką, płacono za nią olbrzymie sumy. Za wynajęcie takiej gazety na godzinę, żądano po 6 rubli. I płacono chętnie.

Wojska tureckie zachowywały się podobno wzorowo, pomimo, że żołnierze cierpieli głód i wyglądali jak cienie. Dostawali tylko po bardzo małej porcji mięsa i chleba kukurydzowego, do którego żołnierze z Anatolji przyzwyczaić się nie mogli. W całem mieście wkrótce po rozpoczęciu oblężenia nie było ani kawałka cukru, ani kropli nafty. Konsulat austrjacki posiadał kilka lampek oliwnych i dwie świece. W miarę przeciągania się oblężenia, nędza stawała się coraz większa. Za pół funta mięsa płacono w ostatnich czasach do dwóch rubli. Ludność żywiła się padliną końską, wobec czego było mnóstwo chorych.

Pani Bilińska była jedyną pielęgniarką wśród całego składu sanitarnego i z poświęceniem wielkiem opiekowała się chorymi i rannymi, wśród których zyskała sobie miłość i wdzięczność.

W czasie pobytu w szpitalu, pani Bilińska nabawiła się zakażenia krwi i ciężko chorowała. Jeszcze obecnie nosi bandaże, jako pozostałości po kilku operacjach.



W obronie bocianów.

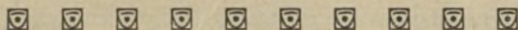
Wysoce godnem pożałowania jest zjawisko, że liczba bocianów w ciągu ostatnich lat stale się zmniejsza. Ubywanie tego ptactwa postępuje tak szybko, że jeżeli w krótkim czasie nie nastąpi surowy zakaz strzelania do bocianów, ptak ten stanie się w niektórych krajach rzadką osobliwością.

Byłoby to pożałowania godnem przedewszystkiem ze względu na jego użyteczność.

Gorące prowadzono spory o pożyteczności, czy też szkodliwości bociana. Tymczasem obecnie nie ulega wątpliwości, że bocian przynosi prawie zawsze więcej korzyści, niż szkody. Bociany i pokrewne gatunki ptactwa, odgrywają w Afryce taką samą rolę, jak w zachodniej Azji i południowo-wschodniej Europie miejscowe szpaki. Tylko, że bocian, dzięki wielkości i olbrzymiemu apetytowi, jest niebezpieczniejszym wrogiem szarańczy, niż szpak.

Nie mniejsze usługi oddają u nas bociany w lecie: niszczą myszy polne, chrabąszcze pędraki, szarańczę. Wobec takich korzyści, jakie przynosi bocian, zwłaszcza dla rolnictwa, stanowczo winna ustać samowola myśliwych względem nich.

Zwrócić należy na to uwagę, że w puszczy Rominckiej od czasu, gdy wystrzeliwano masowo bociany, liczba kretów tak się powiększyła, że władze starają się obecnie o sztuczne zabocianienie tych lasów.



„O własnych siłach“.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Marysię L. z Zacisza.

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko pisarza polskiego, końcowe zaś, czytane z dołu do góry, imię i nazwisko pisarki polskiej.

Sylaby: ki, lec, wa, non, ka, sta, o, ryk, bir, rze, tysz, zis, szyc. i, ja, cy, y, sta, niż, ze, im, tha, hał, ne, wa, e, szów, e, ko, chy, koch, cu, ir, razm, rynt, me, rja.

Znaczenie wyrazów:

1. Wschodnie słodycze.
2. Imię męskie szwedzkie.
3. Bogini nieubłaganej sprawiedliwości.
4. Miasto w Galicji.
5. Dwie samogłoski.
6. Sławny doktór.
7. Uczony polski za Stanisława Augusta.
8. Wyspa grecka.
9. Imię męskie.
10. Spójnik.
11. Prowincja austrjacka.
12. Rzeka w Azji.
13. Imię męskie.
14. Figura geometryczna.
15. Przyprawa do potraw.
16. Kwiat z rodziny złożonych.
17. Imię męskie.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez „Białą Konwalijkę".

—o—

Z następujących sylab ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko sławnego muzyka i kompozytora z XVIII wieku.

Sylaby: we, e, ur, im, tun, rest, ba, cho, ra, sus, ha, pold, te, ter, kle, ni, bo, kan, wies, na, ka, o, mil, psy, we, den, nep, ta, du, jec, le, o, bir, tyzm, ka, tra, ran, pa, or, e.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię monarchy współczesnego z Sobieskim.
2. Postać z powieści Sienkiewicza.
3. Rzeka w Europie.
4. Miejscowość lecznicza w Niemczech.
5. Korzeń, służący do przyprawy potraw.
6. Imię żeńskie.
7. Nauka.
8. Imię męskie.
9. Muza.
10. Stowarzyszenie w Poznańskiem, mające na celu gnębienie Polaków.
11. Wicher.
12. Stary, wysłużony żołnierz.
13. Góra w Azji.
14. Bożek.

GAWĘDKA LISTOWNA.

Łamigłówka *Lirnika Wioskowego* zawiera zbyt wiele imion i z tego powodu jest zamało zajmującą.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 18-go nadesłali: Zosia Piaszczyńska z Woli Nakanowskiej, Zosia z Uniejowa.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 19-go nadesłali: Nenufar i Wróbelek. Telesfor Puma z ul. Wilczej, Zosia z Uniejowa, Helunia z Bodzanowa.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 20-go nadesłali: Nenufar i Wróbelek, Telesfor Puma z ul. Wilczej. Biały Orlik, Helunia z Bodzanowa.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 21-go nadesłali: Nenufar i Wróbelek, Telesfor Puma z ul. Wilczej.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 19.

1. Heban
2. Eliza
3. Narty
4. Rymarz
5. Y
6. Krokiet
7. Szkocja
8. Islandja
9. Elewator
10. Narcyz
11. Kłamstwo
12. Ignacy
13. Europa
14. Wrzos
15. I
16. Cytra
17. Zebra

Henryk Sienkiewicz.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 19.

1. Madagaskar
2. Adrjanopol
3. Celebes
4. Ilmeń
5. Eufrat
6. Jordan
7. Skutari
8. Tamiza
9. Rodos
10. York
11. Jamajka
12. Kruszwica
13. Ontarjo
14. Warszawa
15. Sekwana
16. Kraków
17. Indostan

Maciej Stryjkowski.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	**z przesyłką**
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Jan Powalski. W grodzie żaków (ciąg dalszy z rys.) . . 369
Purpurowe płomienie, opowiadanie prawdziwe, przez J. P. (ciąg dalszy, z rys.) 372
Marja Buyno. Koledzy (ciąg dalszy) 386
Plamy słoneczne 378
Z życia obozowego skautów (rysunek) 379
Modliszka, epizod z rewolucji francuskiej, ciąg dalszy . . 379
Polka na wojnie bałkańskiej 363
W obronie bocianów 383
„O własnych siłach": Łamigłówki 383

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3